Pismo to wychodzi trzy razy w tydzień to jest: w Poniedziałek, Środę i Piątek, o drugiéj po południu.

ZBIÉRACZ LITERACKI.

Załiczenie na 36ść Nrów wynosi Złp. 6 i przyjmuje się w księgarni Czecha, w handlach Kocha i Schreibera.

Środa 7 Listopada Nr 26. 1838 Roku.

KĄPIELE W BADEN-BADEN, KARLSBAD I TOEPLITZ.

(Z ANGIELSKIEGO.)

(DOKOŃCZENIE.)

Po południu wyjechałem z Salzburg. Droga od tego miasta aż do wąwozów Klamne, ciągnie się przez piękne łąki, skropione rzéką Solza; ładne wioski, miła pochyłość zielonością ubarwiona, pola bogatém żniwem pokryte, ładna wioska Hallein, wąwóz Lueg, rozkoszna dolina Leudt, oto są przedmioty, które podróżny spotyka na téj drodze. Za doliną Leudt zaczyna się wąwóz Klamne, tam musieliśmy przyprządz trzeciego konia. Wjechaliśmy potém w dolinę Ache; a nareście wśród gór, których wiérzchołki są okryte śniégiem, ujrzeliśmy Hofgastein, a nieco daléj Gastein, dokąd przybyliśmy po szesnastu godzinach podróży.

Hotele w Gastein podobnie jak w całych Niemczech są bardzo porządne, a nawet okazałe. Główny należy do Piotra Sztraubinger. Pochodzi on w prostéj linii, s familii, która od trzystu lat trudniła się w Gastein zyskowną professą oberżystów; jest bardzo majętny i posiada najpiękniéjsze łąki w okolicy. S tém wszystkiém jego kuchnia niejest odpowiednia wielkim jego dostatkom. W Gastein niéma teatru, wieczerzają o w pół do dziewiątéj i w godzinę potém idą na spoczynek; jednakże pobyt w tém mieście jest bardzo przyjemny s powodu wielkiego napływu cudzoziemców.

Tylko przez dni piętnaście zabawiłem się w Gastein s tamtąd pojechałem do Franzensbad, woda tego miejsca zaprawiona cukrem i winem, jest przewybornym napojem. Woda ta czyści krew i ułatwia trawienie: doskonała dla osób limfatycznych, léczy osoby wycieńczone nadużyciami i przywraca rumieniec ko-

biétom; robią z niéj także doskonałe wino szampańskie. — Przejechałem tylko przez Franzensbad i prosto pojechałem do Toeplitz. Górzysta droga prowadzi przez Brux, Osseg, Belna, Seidschutz i Seidlitz; cały kraj pokryty jest zamkami i miastami. Mężczyzni i kobiéty w okolicy Toeplitz są przystojni, wysokiego wzrostu i kształtnéj postawy; ubior mają czysty i zgrabny. Wszystkie kobiéty mają dobrze uczesane włosy, a niektóre s taką sztuką i gustem, iż najzręczniéjszy fryzyer paryzki lepiéjby nie potrafił.

W Toeplitz zajechałem do hotelu pocztowego, który mi polecono. Mój gospodarz, grzeczny i usłużny gaduła, jakto są po większéj części gospodarze hotelów niemieckich, pokazał mi apartamenta, w których miészkał król i królowa saska, gdy jechali do Pragi na koronacyą césarza austryackiego. Nająłem małą izdebkę, a potém poszedłem obejrzéć miasto.

Kąpiele w Toeplitz znajdują się w oddzielnych budowlach. *Stadtbad*, mieści trzy źródła ciepłe, dostarczające wody prywatnym kąpielom, a mianowicie do wspaniałego gmachu publicznego, zwanego zamkiem księcia Klary. Po prawéj stronie Stadtbad jest drugi gmach przeznaczony dla dam (*fürstliche Frauenzimmerbad*), a przy nim trzeci gmach dla mężczyzn (*die Fürstenbad*). Dwa te gmachy tworzą zachodnią stronę placu kąpieli, północną zaś zajmuje zupełnie zamek księcia de Klary, miejsce schadzki wszystkich gości. — Zwiédziłem *Menschenbad*, publiczną kąpiel dla mężczyzn. Gmach ten jest pod ziemią, podobny do obszérnéj piwnicy; sklepienie opiéra się na ciężkich filarach, a światło pada przez małe okienka wychodzące na ulicę. Gdym tam wszedł, gęsta para napełniała cały ten budynek, a pośród tych wyziéwów ujrzałem ludzi nagich, pokrytych naczyniami i bańkami, ich krew rumieniła wodę. Krzyżowały się tysiączne głosy, a pośród tych krzyków, chorzy, leżąc w kąpieli albo stojąc, naciérali swoje rany. Przykry ten widok, przypomniał mi obraz wystawiający *glie anime dell Purgatorio*, któren napotkać można przy skarbonach wszystkich kościołów we Włoszech.

Toeplitz leży pośród pięknych wzgórzów, zbogaconych najszacowniéjszémi skarbami natury.

Płaskorzeźba umieszczona na frontonie Stadtbadu, przypomina, iż odkrycie tych wód winni jesteśmy zwiérzętom, które przypadkiem wpadłszy w nie i oparzywszy się, krzyczéć zaczęły. Miasto jest piękne, ulice szérokie i dobrze brukowane. Książe de Klary, do którego należy, nieoszczędza wydatków na jego utrzymanie i upiększenie. Rządy, pruski i austryacki zbudowały tam szpital dla żołniérzy ze swoich krajów.

Spotkałem tam księcia B*** któregom widział u doktora Giggart w Baden-Baden, a który był tak nieludzko stamtąd odepchnięty, s przyczyny obawy, żeby tam nieumarł. Biédny książe! toż samo przyjęcie znalazł w Karlsbadzie; i stamtąd go wyprawiono. Wody karlsbadzkie, mówili tamtejsi doktorowie, za mocno działają na jego żołądek i wnętrzności. Wyjechał więc z Karlsbadu do Marienbadu. Tam znalazł kościół zawalony pękami szczudeł, które złożyli uléczeni kalécy. Lecz go tak przyjęto jak wszędzie. Przywiedziony do rospaczy, odepchnięty zewsząd, niewiedząc dokąd się udać, książe przyjechał do Toeplitz i postanowił pozostać tam, chętnie czy niechętnie. Tym razem spełniły się jego życzenia i został w Toeplitz, jakto przekonywa wspaniały grobowiec, w którym spoczywają jego szczątki.

RÓŻA MARTIN.

S FRANCUZKIEGO.

Właśnieco wybiła piąta z rana. Słońce już weszło, a jego złoty, z ukosa spadający promień oświetla alabastrowy posąg, stojący w kącie, który dwie ulice, *Pastourelle* i *du Temple*, zbiégając się formują. W ostatniéj, najludniéjszéj, która prosto na plac *Gréve* prowadzi, powstaje zwykle o téj godzinie wielki ruch i zatrudnienie. Jestto miesiąc październik, w którym wszyscy miészkańcy z *la Limoge*, s koszem na plecach, kielnią w ręku i bochenkiem chleba pod pachą, zbiérają się z największym pośpiechem na placu *hôtel de Ville* dla znalezienia na dni kilka roboty, która się w téj porze roku coraz rzadszą staje. Nie na dobre tym wyjdzie, którzy o téj porze, wracając z uczty lub zabawy, w czarnych frakach przez to miejsce przechodzić muszą. Ich smakowny ubior nieujdzie spotkania

się z opruszonémi wapnem kaftanami pracowitych murarzy.

Cztérech mężczyzn, s których jeden szérokim płaszczem osłonięty, a drudzy trzéj w czarnych, prostych surdutach, usiłowało już kilkakrotnie z najprzykładniéjszą cierpliwością otrząść z siebie nieprzyjemne tego spotkania skutki, a jednak nieoddalają się z miejsca: jeden wcisnął się w kąt tylnéj bramy, drudzy dwaj stoją pośród ulicy, a czwarty na rogu, przy gościńcu *Gravilliers*, zajął stanowisko. Niezdaje się, abyto byli goście wracający z wesela; na twarzy ich maluje się jakaś surowość, okazująca wyraźnie, że ani przy dwźięku muzyki, ani w gronie wesołych tancérzy, niespędzili nocy. Uzbrojeni są grubémi, sękatémi laskami, którémi bądź dla rozrywki, bądź dla nadania sobie większéj powagi, z łoskotem o bruk uderzają; oczy ich zwrócone są na towarzysza czarnym płaszczem okrytego, który stanąwszy przed domem, w niejakich przestankach sztuka potężnie do drzwi.

» Aha! to jest straż kupiecka, « rzekła jedna z mléczarek do chłopca, otwiérającego okiennice od sklepu; « teraz kto może, niech bierze nogi za pas; bo ten, co się w tych ptaków szpony dostanie, niebardzo cieszyć się będzie! «

Mléczarka nieomyliła się w swym domyśle; byłato w saméj rzeczy straż policyjna z urzędnikiem na czele; a najlepszym tego było dowodem, że nim jeszcze pół godziny ubiegło, już przed strzeżonémi drzwiami stanął powóz, do którego wkrótce jeszcze ściśléj strzeżony wsiadł mężczyzna; poczém woźnica zaciąwszy konie, ku ulicy *la Clef* pogonił.

» Kogóżto powieziono?» służąca zapytała czeladnika, który się razem z nią téj rannéj scenie przypatrywał.— «Pana Martin, « odrzekł czeladnik; « przepadł nieborak!» — « Dokądże go powieźli?» — «Do więzienia *St. Pelagie;* lecz on niebardzo się zmartwi, gdyż mu tam na niczém zbywać niebędzie. Można w téj mierze zapytać się naszego sąsiada, który za długi wzięty, właśnie niedawno stamtąd powrócił.»

* * *

Na trzy miesiące przed tym wypadkiem, pewien mężczyzna, mający już około lat pięćdziesiąt, przyszedł do bankiera, miészkającego przy ulicy *Barbette*, i pra-

wie drżący z bojaźni, by mu jego prośby nieodmówiono, rzekł bardzo skromnym głosem: — «Czy niebyłbyś waćpan tak grzecznym zaliczyć mi na ten weksel gotówką?» — «Nieznam waćpana, « odrzekł mu krótko, ponury i przykry starzec, który zmarszczywszy gęste, obwisłe brwi, ociéniające małe świécące jego oczy, rosparł się wygodnie w miękkiém krześle poręczowém. «Powiadam waćpanu, że go nieznam!» powtórzył ozięble, gdy proszący ośmielił się jeszcze raz przedłożyć mu swe żądanie; «i niémogę przyjąć wekslu od piérwszego lepszego człowieka, który się mi nawinie. « — «Ależ mnie zapewniono, że waćpan znasz dokładnie wydawcę tego wekslu, i dla tego dano mi adres do waćpana.» — «Bardzo naturalnie, żeś waćpan musiał miéć adres, by mój dom wynaléźć; lecz ja nieznam waćpana.» — «Miészkam przy ulicy *du Temple*, zowię się **Martin**, i jestem s profesyi złotnikiem; « rzekł wzywający pomocy, patrząc trwożliwie na starca, podczas gdy tenże przeglądał weksel, na którym było jego nazwisko i pomiészkanie zanotowane. — » Niejestem przy piéniądzach, a przytém interes ten, niewart mego zachodu. Dom wprawdzie, na który weksel ten idzie, niejest mi nieznany; jednakże dziś tego wekslu przyjąć niémogę; przyjdź waćpan za dni ośm, a może wtedy będę przy piéniądzach, gdyż przez ten czas znaczna kwota wpłynie do mojéj kassy.» — «Dopiéro za dni ośm? to jest czas bardzo długi; mnie potrzeba téj kwoty już jutro, gdyż na nią rachowałem; albowiém przyznam się waćpanu, żem o tém niewiedział, iż zamiast gotówki, weksel otrzymam. Byłbym waćpanu niezmiernie obowiązanym, gdybyś...» — » Ależ do licha!» mruknął starzec, wlepiwszy przenikający wźrok w pobladłą twarz złotnika; » zawiérz mi waćpan, iż dzisiaj wielką dla mnie przykrością ułatwienie tego wekslu — jednakże dla wybawienia waćpana s kłopotu przyjmę!» — «Lecz chciéj być z łaski swojéj umiarkowanym co do procentu!» — «Ile w mojéj możności,» odrzekł starzec. Weksel, na 624 franków, opiéwający na trzy miesiące *de dato*, porachowano po 18 od sta i wciągniono do książki rachunkowéj. Biédny złotnik, usłyszawszy tak

wielki procent, mocno się zmartwił; ale cóż miał począć? Potrzebował koniecznie piéniędzy; nic mu niepozostało, jak tylko milczéć i nieczułemu lichwiarzowi gorzkim podziękować uśmiéchem. — Razem stym biletem przedał złotnik Martin i wolność swoję. Po upływie bowiém terminu niebył w stanie zapłacić; podstępne bankructwo domu, który ten weksel wydał, pozbawiło go nawet wszelkiéj nadziei zachowania się od zguby, gdyż zarobkiem s pracy swojéj powrócić bankierowi drogo pożyczone piéniądze, niémiał dostatecznego czasu.

* * *

W tym samym kupieckim domu, który przywiódł do upadku złotnika Martin, znajdował się pewien młody człowiek, nazwiskiem Jules Lenoir. Był on tamże expedytorem i synem bankiera przy ulicy *Barbette;* z resztą piękny, smukły chłopiec, mający lat dwadzieścia i dwa, gładką, rumianą twarz, pięknie strzyżony czarny wąsik, i długie, aż na szyję wedle ostatniéj mody spadające włosy. Młody człowiek ten, nauczywszy się po grecku i po łacinie, otrzymawszy piérwszą nagrodę z wymowy i estetyki, wyszedł po to ze szkół, aby wstąpił do kupieckiego domu, i tamże układał pakiety lub podobne odbywał zatrudnienia. Dzięki jeszcze jenijuszowi i pilności jego, iż w tym zawodzie w krótkim czasie nabył wielkiéj doskonałości. Tym sposobem posunął się na wyższy stopień, i postępując coraz wyżéj, dano mu pisać listy, załatwiać niejaką część korespondecyi, aż nakoniec ten wysoki osiągnął stopień, iż mu powierzono wynajdywanie dla obstalunków za granicę takich rzemieślników, którzy w zarobkowości wieczną ze sobą toczą wojnę, i stego powodu dla zgubienia siebie i drugich, za bardzo mierną robią cenę. Tym sposobem zabrał także znajomość z naszym złotnikiem Martin, do którego jednego razu przyszedł s poleceniem osadzenia kléjnotami wytwornego dyademu. A ponieważ przypadek zdarzył, iż jubiler ten miał bardzo piękną córkę, zarzucano Juliuszowi Lenoir w kantorze, iż nazbyt drogo za dyadem zapłacił; gdyż takowy zamówiony był dla pewnego kupca na prowincyę, który za towary także nie gotówką, lecz

wekslami płacił. W ten sposób tracą rzemieślnicy na dochodach swego zarobku, a kupcy panoszą się procentami!

Róża Martin była najładniéjszą ze wszystkich dziéwcząt, które w Paryżu trudnią się polerowaniem naczyń srébrnych; wszakże piękność ta niebyła jedyną jéj zaletą. Słynęła ona prócz tego jako cnotliwa i dobrze wychowana dziewczyna. Od śmierci swojéj matki, która prawie w tymże samym czasie umarła, w którym Róża skończyła swą naukę, bawiła zawsze przy swoim ojcu. Miała blisko lat ośmnaście. Skoro po raz piérwszy ujrzała Juliusza Lenoir, już jéj serce za nim przemawiać zaczęło; działo się to w tym samym dniu, gdy Juliusz przyszedł do jéj ojca zamówić ów dyadem nieszczęsny. Jego sposób wyrażenia i zachowania się był tak ogładzony, całe ułożenie jego tak ujmujące, iż zaraz w piérwszéj chwili zjednał sobie przychylność Róży. Im skromniéj wychowana i niewinniéjsza dziewczyna, tém łatwowierniéjsza!

Jedno spójrzenie tego anioła, przekonało Juliusza Lenoir, który prócz tego o swoich osobistych przymiotach miał dobre rozumienie, iż w sercu téj młodéj, niewinnéj dziewczyny, miłosne wzbudził uczucie. Niezaniedbał więc żadnego dnia dowiadywać się: czy spieszno idzie robota, i tym sposobem przywiązując się coraz bardziéj do Róży, coraz niechętniéj oddalał się z domu jubilera. Jednakże byłoto rzeczą osobliwszą, iż piérwszy raz w życiu uczuł w sercu swojém jakąś nieśmiałość, któréj dotychczas nigdy niedoznawał w obecności żadnéj dziewczyny, chociaż w podobnych okolicznościach niebył bynajmniéj bez doświadczenia.

Dotychczas nieśmiał on jéj pisywać, a tém bardziéj wspominać o swéj miłości; gdyż nietylko baczne oko ojca, który mógł zgadywać tych częstych odwiédzin powody, ale nawet skromne i niewinne serce dziewczyny nakazywały mu w téj mierze przezorność i poważanie. — Nakoniec zaczął się przybliżać dzién, w którym miała być skończoną i oddaną robota, a miłość młodego Lenoir niepozyskała szczęśliwszego powodzenia. W tém będąc położeniu, musiał uzbroić się odwagą i napisał list, godny zupełnie ucznia, który z wy-

mowy i stylu piérwszą otrzymał nagrodę. Drogi bilecik ten, przesiąkniony wonią i blichtrami poezyjnémi, wywabił s pięknych ócz Róży roskoszne łzy miłości. Jednakże skoro piérwsze uniesienie radości przeminęło, Róża postanowiła odkryć wszystko przed swoim ojcem. Przyznała się przed nim, że kocha Juliusza Lenoir i pokazała mu list od niego. Ojciec, przekonany o niewinności i dziécięcém posłuszeństwie swéj córki, postanowił w tym względzie pomówić z nim osobiście, a gdy nazajutrz Lenoir przyszedł do jubilera o zwyczajnéj godzinie, zastał go w pracowni samego.

Ojciec Martin niebył wprawdzie uczonym, ale jeden s tych prostych, otwartych, naturalnym rozumem obdarzonych ludzi, których bardzo często znajdujemy pomiędzy średnią klasą. Wychowanie, którego nieodebrał za młodu, starał się własném zastąpić ukształceniem; tym sposobem nabył doświadczenia i wiadomości, dla których go, jako człowieka biegłego w swym zawodzie, a przytém mającego zdrowy rozsądek, powszechnie poważano. Juliuszowi Lenoir wiadome były jego zalety, i dla tego, ujrzawszy się z nim sam na sam, uczuł w sercu swojém jakąś obudzającą się nieśmiałość. Na twarzy złotnika panowała surowość i powaga. Juliusz domyślił się natychmiast, że Róża wszystko przed swym ojcem wydała. Nieumiał się więc znaléźć i zaczął od zwyczajnego zapytania: «No, jakże tam mości Martin? pracujesz waćpan pilnie nad dyademem?» — «Przeciwnie, pracuję teraz nad odpowiedzią na ów list, którym waćpan zaszczyciłeś moję córkę;» odrzekł jubiler z uśmiéchem.— «Zawiérz mi, panie Martin...» rzecze młody Lenoir pomięszany. — «Ja tylko w to wierzyć mogę, coś waćpan w swoim liście mojéj córce wyraził, to jest: że ją kochasz i uszczęśliwić pragniesz.« — «O niezawodnie, panie Martin, bądź waćpan przekonanym, że niémam innych, jak tylko te zamiary.» — «Jeżeli tak, to pięknie — to się mi podoba. Ale powiédzże mi waćpan, jakim sposobem starać się będziesz uszczęśliwić moję córkę?»

(DALSZY CIĄG NASTĄPI.)

W Krakowie, Czcionkami Józefa Czecha.